

# Ignacy Loyola

SAM I NA PIECHOTĘ

José Ignacio  
Tellechea Idígoras

Przekład  
Katarzyna Jachimska-Małkiewicz

Wydawnictwo WAM ■ Księża Jezuici  
Kraków 2014

Tytuł oryginału  
Ignacio de Loyola. Solo y a pie

© Ediciones Sígueme S.A.U., Salamanca 1990

© Wydawnictwo WAM – Księża Jezuici, 2014

Konsultacja merytoryczna:

dr Stanisław Cieślak SJ

dr Bogusław Steczek SJ

Redakcja: Zofia Palowska

Korekta: Dariusz Godoś

Projekt okładki: Andrzej Sochacki

Projekt części działowych: Krzysztof Błażejczyk

Łamanie: Edycja

ISBN 978-83-7767-989-0

WYDAWNICTWO WAM

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003

e-mail: [wam@wydawnictwowam.pl](mailto:wam@wydawnictwowam.pl)

[www.wydawnictwowam.pl](http://www.wydawnictwowam.pl)

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: [handel@wydawnictwowam.pl](mailto:handel@wydawnictwowam.pl)

KSIĘGARNIA WYSYŁKOWA

tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447

faks 12 62 93 261

[e.wydawnictwowam.pl](http://e.wydawnictwowam.pl)

Druk i oprawa: Drukarnia EDICA, Poznań

## Fantastyczna wizja i źródła

Gdyby Ignacy Loyola wrócił dziś *incognito* w swoje ojczyste strony – jak to uczynił w 1535 roku – niewątpliwie miałby spore trudności z rozpoznaniem rodzinnego miasteczka. Gdzie się bowiem podziały kręte średniowieczne uliczki, mury obronne, stara wieża parafialnego kościoła? Przebudowany w późniejszych czasach pałac Emparan odbiłby się przynajmniej w jego pamięci echem znajomego nazwiska, jako że Emparanowie byli spokrewnieni z rodem Loyolów. Również klasztor Sióstr Franciszkanek od Niepokalanego Poczęcia pochodzi z późniejszego okresu i choć w miasteczku określa się mieszkające tam zakonnice mianem *monja xarrak* – starych zakonnice – Ignacy mógł znać jedynie pierwotne zabudowania klasztoru z końca XV wieku. Za to okazały dom Anchietów, osobliwie tchnący stylem *mudejar*, zapewne ożyłby w jego pamięci, choć nazwisko to niosło z sobą ponure wspomnienia rodzinnych waśni nierzadko prowadzących do rozlewu krwi. Gdyby zajrzał do kościoła parafialnego, znalazłby tam odrestaurowaną chrzcielnicę, a obok niej napis, który zapewne poruszyłby go do głębi: „Tu został ochrzczony Ignacy Loyola”. Przechadzając się uliczkami starego miasta, które z czasem obrosło w nowe dzielnice i mało estetyczne fabryki, natknąłby się na ulicę Świętego Ignacego; a gdyby, zaciekawiony, zaczął wypytywać przechodniów, kim był patron ulicy, u części z nich odkryłby entuzjazm i szczerą afekt dla znamienitego rodaka, podczas gdy inni okazaliby obojętność czy niechęć

wobec Świętego, a niektórzy – o dziwo – wręcz zaprzeczyliby temu, że był Baskiem. Fakt, że zupełnie obcy ludzie umniejszają czyjeś zasługi lub odmawiają przynależności narodowej, jest bolesny, ale wybaczalny; ale żeby robili to rodacy?!...

Z goryczą w sercu Ignacy opuściłby stare miasto, kierując się do leżącej nieopodal Loyoli, będącej przez wieki kolebką jego przodków i miejscem, gdzie on sam przyszedł na świat. Malownicza dolina do dziś cieszy oczy tą samą co dawniej zielenią, w tym samym miejscu trwa zastygła w bezruchu i niewzruszona góra Izarraitz, wyzywając upływające stulecia. Gdzie się jednak podziła kapliczka Olatz, w której tyle razy modlił się do Matki Boskiej? Gdzie olbrzymi dąb, który wyróżniał się w gąszczu lasu, wskazując drogę do rodzinnego zamku? Co się stało z wielką budowlą z szarego kamienia wznoszącą się w pobliżu warowni, z olbrzymią kopułą wybudowaną jeszcze przez Iberów? Wieczny Pielgrzym Ignacy, zatajając swe imię, wstępuje w progi wspaniałej bazyliki. W niszy usytuowanej wysoko nad głównym ołtarzem znajduje się jego podobizna. Ta figura Świętego ozdobiona setkami kilogramów czystego srebra to dar Stowarzyszenia Guipuzcoańskiego w Caracas z XVIII wieku. Podążając za powolnym nurtem sunących turystów, zagubiony i zdeorientowany wśród nawału wrażeń, Ignacy opuszcza portyk bazyliki i dochodzi do miejsca obowiązkowego zwiedzania, które zwie się dziś Świętym Domem. Serce zaczyna mu gwałtownie kołatać – oto ma przed sobą ściany rodzinnego zamku. Nie ma możliwości pomyłki. To te same solidne kamienne mury, ta sama płaskorzeźba z herbem rodowym, nadbudówki z cegły wzniesione przez dziadka Juana po wyburzeniu – z rozkazu króla, za karę – wież strażniczych. Nie mógłby też nie rozpoznać dwóch rzeźb umieszczonych na osobliwym podworcu, które musiały obudzić w nim wiele wspomnień: jedna przedstawia wyniosłego rycerza zakutego w ciężką zbroję, druga – grupkę żołnierzy transportujących na noszach ранego, na którego

spotkanie wybiega z domu uradowany pies. Ignacy przypomina sobie, jak pies miał na imię i jak wiernie towarzyszył mu podczas długich dni pełnych bólu i osamotnienia.

Bez wahania przestępuje próg *swojego* domu, wtapia się w tłum turystów, wysłuchuje wyjaśnień przypadkowego przewodnika. Mówią o nim, ciągle o nim. Wypełnia tu każdy kąt, on i jego rodzina, ale nie ta, z którą łączyły go więzy krwi – o tamtych nikt dziś nie pamięta, choć kiedyś byli tak dumni i pyszni! – lecz duchowa. Są teraz wszędzie, co rusz natyka się na ich wyrzeźbione postacie, pamiątki z życia, relikwie, wizerunki na przepięknych witrażach. Albo tutaj: grupa mężczyzn chroniących się pod płaszczem Matki Boskiej we wnętrzu kaplicy, którą urządzono w pomieszczeniu, gdzie w jego czasach, tak dziś odległych, znajdowała się kuchnia. Ta sama kuchnia, w której zimową porą snuto niekończące się opowieści przy trzasku pękających na piecyku kasztanów. Co nowego mogą mu powiedzieć przewodnicy? Przecież wie nieskończenie więcej na temat samego siebie, rodziny, na temat swoich nieodłącznych towarzyszy. O wiele bardziej interesuje go wszystko to, co tylko on jeden jest w stanie dostrzec: pod warstwą bogatej sztukaterii odkrywa prawdziwe oblicze pierwotnego domostwa, mocarne belki stropów chroniące teraz wystawne kaplice i ołtarze. Zapęłnia je w wyobraźni łóżkami, szafkami i innymi meblami z dębowego czy kasztanowego drewna. Bez trudu rozpoznaje pełen wdzięku obraz przedstawiający Zwiastowanie, dar królowej Izabeli dla Magdaleny Araoz, ukochanej bratowej, która matkowała mu i otoczyła go opieką, kiedy leczył się z ran, a potem powoli wracał do zdrowia. Największe emocje budzi w nim jednak wizyta w pokoju na piętrze, z którym wiąże się tak wiele wspomnień, ożywionych teraz przez polichromowaną rzeźbę przedstawiającą młodego rycerza-rekonwalescenta, który podnosi wzrok znad trzymanej w dłoniach książki, żeby spojrzeć na drewnianą figurkę Matki Boskiej będącą marnym przedstawieniem tej, którą pewnego

dnia rzeczywiście zobaczył. Jego wielka przygoda tak naprawdę rozpoczęła się właśnie tutaj i właśnie wtedy. Wygląda przez okno, wpatrując się w szczyt góry Izarraitz – to jedyne, co przetrwało nietknięte do dzisiaj i co w najdoskonalszy sposób przynosi go teraz w przeszłość, pozwalając pogрузić się w ówczesnych przeżyciach. To w tych ścianach powoli i w bólach rodził się po raz drugi i ostateczny – do życia, którym nie rządzi rytm biorący początek z fizycznych głębin ludzkiego ciała. Wszystko, co wydarzyło się do owej chwili, tyle lat życia, okazało się próżne i pozbawione wszelkiego znaczenia, przeobraziło się w rozwiewane przez wiatr smugi dymu, kiedy ochoczo spalił wszystko, co wcześniej kochał i podziwiał. Marzenia snute przez tyle wieczorów w samotni tego pomieszczenia naznaczyły na zawsze życie, które dopiero od owej chwili stało się naprawdę jego własnym życiem. Chociaż, na dobrą sprawę, żeby nie minąć się z prawdą, należałoby powiedzieć, że bardziej niż do niego, życie to należało od tej pory do Kogoś innego – do Tego, który poprowadził go drogą, o której nawet mu się nie śniło w owym gorączkowym i pełnym projektów okresie przemiany. Gdzie bowiem skończył ówczesny aspirant na kartuskiego pustelnika? „Niewielu ludzi żyje swoim własnym życiem” (Georges Bernanos).

Po opuszczeniu pokoju, już na schodach, czuje nagle, że ogarnia go jakiś osobliwy smutek. Każdy kąt przywołuje na pamięć tyle wspomnień... ale w żadnym z nich nie dostrzegł zarysu twarzy czy figury matki. Jego dziecinne źrenice nigdy nie zarejestrowały jej widoku, nie mógł więc jej pamiętać, z niczym skojarzyć. A może najgłębszym sekretem jego wędrownego życia było właśnie podświadome poszukiwanie nigdy niepoznanej matki? Może była to instynktowna, niemal biologicznie uwarunkowana próba tamowania krwi płynącej bez ustanku z rany, którą spowodował brak matczynej miłości? Pamiętał brata Martína, który został dziedzicem majątku Loyola, jako że pierworodny syn poległ na wojnie we

Włoszech; pamiętał brata Pedra, duchownego o dominującym charakterze i rozwiązłym trybie życia, który został proboszczem w Azpeitii; Hernanda, który zaginął w Ameryce; Ochoę, który zmarł w młodym wieku tu, w tych murach; Magdalene, która przygarnęła go u siebie w Anzuoli, kiedy wieziono go rannego z Pampeluny; Beltrána, Juanizę, Petronilę, Sanchę... Wokół domostwa trzepoczą też cienie nieślubnego potomstwa, które niewątpliwie należałoby dopisać do drzewa rodzinnego Loyolów. Duma i rozpusta – to był ich prawdziwy herb rodowy. Loyola oznacza błotniste bajoro. On był ulepiony z tej samej gliny co oni i byłby kolejnym ogniwem tego samego łańcucha, gdyby nie to, co wydarzyło się w tym właśnie pokoju, który teraz opuszcza.

Gdzie się podział folwark Eguibar stojący niegdyś nieopodal rodzinnego domu? To tam mieszkał kowal Errasti z żoną Marią Garín – mamką, która wykarmiła go w dzieciństwie. To jej zawdzięcza życie, a z nim wszystko inne; bo przecież to dzięki życiu doczesnemu stajemy się tym, czym ostatecznie jesteśmy. Czy stoi jeszcze kuźnia, gdzie po raz pierwszy zobaczył, jak silnymi uderzeniami młota kuje się gorące żelazo? On również został ukształtowany w podobny sposób, ukuty przez życiowe ciosy, i w tenże sam sposób pragnął kształtować później swoich towarzyszy. Idzie dalej. Niespodziewanie coś przykuwa jego wzrok: tuż obok rodzinnego domu mieści się ośrodek rekolekcyjny. Pyta wybranego na chybił trafił jezuitę, który udziela mu wszelkiego rodzaju wyjaśnień. Okazuje się, że to ośrodek promocji i kształcenia duchowego, gdzie udziela się uwspółcześnionej wersji *Ćwiczeń duchownych* świętego Ignacego i gdzie wydawana jest publikacja o osobliwym tytule „Manresa”. Gość przystaje niemy i skupiony, przeskoczywszy kilka wieków, pogrąża się na chwilę w zakamarkach własnej duszy. Potem wstępuje do biblioteki, gdzie – o dziwo – pozwalają mu przejrzeć jego własne książki. I znów odnajduje we wszystkich tekstach siebie. Co mogą mu jednak objawić,

czego by sam nie wiedział? Serce bije mu mocniej na widok znajomych tytułów: *Ćwiczenia duchowne*, *Formuła Instytutu*, *Dziennik duchowny*, *Konstytucje*. Mozolnie i bez pośpiechu czytelował w nich każde słowo. Dlaczego teraz są doprawione osobliwymi dodatkami w postaci uczonych wstępów i przypisów mających na celu wypełnianie luk, odgadywanie intencji, budowanie zawyłych interpretacji? Czy rzeczywiście wszystko to jest tak bardzo skomplikowane? Wydaje mu się, że podążał po prostu własną drogą; to prawda, że czasem natrafiał na niespodziewane wertepy, ale jego droga była prosta i nieskomplikowana, jak koryto strumyka, który nieopodal spływa ze szczytów Pagotxety, odpowiadając bezbłędnie na zew doliny i płynącej nią rzeki Urola. To prawda, że długo się opierał, wzbraniał się przed opowiedzeniem historii swego życia, lecz w końcu w przyptywie starczej łaskawości uległ natrętnym namowom i zdał sprawę z niektórych jego urywków. Choć zachował dla siebie pewne trudne do sformułowania sprawy, sekretne wewnętrzne przeżycia – jak to możliwe, że historia jego wędrownego życia wypełniła aż cztery opasłe tomy opatrzone tytułem *Fontes narrativi de Sancto Ignatio*? Czyżby aż tyle miejsca zajęło opowiedzenie jego prostego żywota? I kim byli ci niedyskretni i tak niezwykle płodni narratorzy?

Przejrzał spis treści – co rusz przykuwały w nim wzrok znajome nazwiska, które bezwiednie okraszał w myślach wiele znaczącymi i celnymi epitetami: poważny i dostojny Laynez; słodki, anielski wręcz, a przy tym niezwykle skrupulatny Faber z Sabaudii; cierpliwy Polanco, który mimo obarczenia go tak wieloma obowiązkami wytrzymał u jego boku tyle lat, zawsze zapracowany, niczym prawdziwy kastylijski muł. I Nadal, wielki entuzjasta, mimo iż na początku przez wiele lat odrzucał jego kolejne zaproszenia. I Gonçalves da Câmara, który miał szczęście zostać jego powiernikiem. To dziwne! Nawet dziś nie potrafiliby wytłumaczyć, dlaczego to właśnie jemu zaufał, a nie komuś z wąskiego grona pierwszych towarzyszy



z Paryża. Dalej pojawiał się Ribadeneira, który wypełnił grubym tom swą piękną prozą rodem z Toledo. Jak to możliwe? Ten psoty czternastolatek, paź kardynała Farnese, który pewnego razu tak narozrabiał, że przyszło mu uciekać z dworu opiekuna i został przyjęty do Towarzystwa Jezusowego, gdzie musiał się pogodzić z towarzystwem pełnych powagi intelektualistów; który nie opuszczał go ani na krok i zadawał pytania, jakie można było wybaczyć jedynie przez wzgląd na jego młody wiek i żywy temperament? Pielgrzym nie może powstrzymać ciekawości i zagląda do prologu. – Cóż za napuszony i górnolotny wstęp napisał nasz tolekańczyk! – wykrzykuje w duchu. – Jakże inny był w czasach, kiedy go przygarmałem.

Jego wzrok pobiegł kilka akapitów dalej i nagle ogarnęła go fala niezmiernej tkliwości, szczerzej i spontanicznej, był przecież sam, niepodglądany przez nikogo. Przez dobrą chwilę smakował czytane słowa: „To wyraz pobożnego i zasłużonego podziękowania i miłych sercu wspomnień, to najśodsza pamiątka po tym błogosławionym człowieku i Ojcu moim, który zrodził mnie w Chrystusie, wyżywił i wychował. Wyznaję, że to dzięki jego pobożnym łzom i żarliwym modlitwom jestem dziś tym, kim jestem, to jemu zawdzięczam wszystkie moje skromne osiągnięcia... Opowiem wszystko to, co sam słyszałem, widziałem i czego dotknąłem własnymi rękami u naszego Błogosławionego Ojca Ignacego, przy którego piersi wychowywałem się od dzieciństwa i wczesnej młodości... w domu i poza domem, w mieście i poza nim nie odstępowałem go ani na krok, zawsze mu towarzyszyłem, byłem jego sekretarzem i służyłem we wszystkim, w czym się tylko dało, odnotowując wszystkie prowadzone przez niego sprawy, wszystko, co mówił i robił”... Wygląda na to, że przynajmniej ten biograf przygarmańty w dzieciństwie darzył go głęboką wdzięcznością, a wdzięczność była dla Pielgrzyma największą cnotą u każdej szlachetnej duszy, u każdego prawego człowieka, prawdziwego chrześcijanina. I niewątpliwie bardzo bystry

i wnikliwy był ów Ribadeneira, gdyż w przeciwnym razie nie byłby w stanie napisać wielu innych celnych fragmentów, które Ignacy odkrywa teraz co kawałek w tym obszernym dziele: rzeczywiście, bezbłędnie odgadł, że pod warstwą spokoju i opanowania, które dominowały w zachowaniu Pielgrzyma, chował się człowiek „krewki, porywczej natury”, odważył się nawet insynuować, że Pielgrzym przybierał i zdejmował „coś w rodzaju maski i surowego oblicza oraz że robił to kiedy i jak chciał”.

Sprytny Ribadeneira nie potknął się tam, gdzie zaplątał się szczerzy i prostolinijny Laynez, który wszystko brał tak bardzo na serio. Oczywiście gościowi-czytelnikowi bardzo przypadło do gustu końcowe zdanie napisane na jego temat przez dawnego ministranta i pomocnika: „Miał wiele cech, które sprawiały, że był bardzo kochany przez najbliższe otoczenie”. W sumie ciekawski Pielgrzym stwierdza ze zdumieniem, że owi czcigodni Ojcowie, będący przykładem dyskrecji i powściągliwości, nie przestawali go szpiegować, co rusz wdzierali się w jego tak silnie strzeżoną intymność i – jeszcze za jego życia, choć w znacznie większej mierze dopiero po śmierci – ustanowili coś w rodzaju serdecznej i pełnej uwielbienia rywalizacji mającej na celu ocalenie wszelkich wspomnień z nim związanych. W końcu miłość pozwala poznać kogoś lepiej niż nienawiść.

Obok tych dowodów pełnego miłości uwielbienia istniały również inne biografie, zimne i odległe, kryjące podłoże ogólnej antypatii. Były też przykłady nienawiści niekryjące się za żadną maską. Mógł się o tym przekonać, przeglądając poustawiane na półkach biografie, w których czekało na niego wiele ogromnych niespodzianek, odkrył bowiem, że oprócz wielbicieli miał też zaciekłych wrogów. Wielu z nich intrygowała tajemnica siły duchowej Loyoli, nie przestawali więc grzebać w jego osobowości, tworząc różne złudne teorie na temat tej zagadki. Jeden z nich nazwał go genialnym psychologiem, którego celem było wkręcenie się w wyższe sfery (H. Boehmer), inny określał

mianem dyplomaty-intryganta ulegającego pokusom władzy i pragnącego rządzić światem chrześcijańskim ze swego punktu dowodzenia w Rzymie (Fülöp-Miller). Zapalonym mówcą musiał być człowiek, który najpierw wychwalał go jako geniusza organizacji wojskowej i najwyższej klasy generała, a dalej zapewniał, że chciał unicestwić wolność, doszczętnie zniszczyć człowieka i doprowadzić ludzkość do samobójstwa (E. Castelar). Inny nazywał go „dyktatorem dusz”, człowiekiem oschłym, niewzruszonym oraz hipokrytą, który „nie jest ojcem, cieszącym się i martwiącym razem z bliskimi” (L. Marcuse). Nie zrozumiał za dobrze, dlaczego określano go mianem nieustraszonego bohatera na usługach Kościoła, wyrazicielem myśli czy rycerzem kontrreformacji (L. Gothein), ale jego zdumienie sięgnęło zenitu, kiedy stwierdził, że w innych książkach opisywano go jako historyka, człowieka żydowskiego czy antygermańskiego ducha, okultystę czy tajemnego guru. Nie do wiary! Znacznie przyjemniejsze wydało mu się skojarzenie krajana, Miguela Unamuna, który porównywał go do Don Kichota. Czy wytoczyłby proces wszystkim tym, którzy go oczerniali, czy wystąpiłby do papieskich lub cywilnych trybunałów w obronie swego dobrego imienia lub „prawa do wizerunku”, tak jak tyle razy robił to za życia? Rzeczywiście, niektórzy ludzie w niezwykle malowniczy sposób wcielali w życie maksymę, którą on sam umieścił w *Ćwiczeniach*: „zawsze [...] starając się znaleźć to, czego chcę” [ĆD 76]. Jakież to tajemnicze *starali się znaleźć* w jego życiu?

Zamknął książki, kiedy ktoś z obsługi przyszedł po niego, oznajmiając, że będą zamykać. Pożegnał się z życzliwym zakonnikiem z centrum duchowości i powoli zaczął się oddalać od rodzinnego domu-warowni. Przemierzając szeroką niezabudowaną przestrzeń rozciągającą się przed domem, natknął się na pomnik na wysokim piedestale: Święty Ignacy Loyola. Kilka metrów dalej dokazywała rozbiegana grupka chłopców. Słysząc było ich głośne krzyki: Iñigo, Iñaki, Ignacio! Jeden

z chłopców wlepił wzrok w Pielgrzyma zaskoczony faktem, że ten od dłuższej chwili stoi nieruchomo i wpatruje się w tak bardzo sobie znajomą postać. Czemu on się tak przygląda? Oczywiście nie rozpoznał go. Pielgrzym odchodzi, gubiąc się w słonecznym popołudniu. Zaczyna się wspinać na stok Izarraitz. Zostawia za sobą dolinę, która stopniowo oddala się i ginie w dole. Widnokrąg robi się coraz szerszy, coraz rozleglejsze niebo. Lekka mgielka sprawia, że błękity wieczoru stają się delikatniejsze, podczas gdy na niebie rozbłyska Wenus i pojawiają się pierwsze gwiazdy. „Jakże nędzna i niska wydaje mi się ziemia, kiedy spoglądam na niebo!”.

\* \* \*

# I | Od Loyoli do Loyoli

Pielgrzymie, pielgrzymie,  
który nie znasz swojej drogi:  
dokąd zmierzasz?

Manuel Machado



## Ziemia ojczysta i czasy

Iñigo należał do klanu Oñaz-Loyola. Oñaz i Loyola to nazwy majątków ziemskich służące za nazwisko rodowi, z którego pochodził. On sam przyjął drugie z nich, powszechnie je rozsławiając. Kiedy Iñigo postanowił dać początek swej ziemskiej przygodzie, jego brat Martín na wszystkie sposoby próbował go od tego odwieść, powołując się na pozycję rodziny, roztańczając przed nim uzasadnione widoki na przyszłe godności i honory. Skąd mógł wiedzieć, że ów włóczęga, który miał przynieść wstyd rodowi, stanie się jego najbardziej zasłużonym członkiem? Iñigo Loyola był Baskiem, Baskiem najbardziej uniwersalnym, który miał nadać światowy rozgłos swemu nazwisku, a wraz z nim swej ojczystej ziemi. Przez wielu będzie określany mianem *Biskajczyka*, które było w owych czasach w powszechnym użyciu, jednak on sam musiał jasno określać swoje pochodzenie, gdyż już od 1547 roku Laynez i Polanco odnotowują w swoich zapiskach, że pochodził z prowincji Guipúzcoa albo po prostu z Prowincji, jak metonimicznie nazywano ją w pismach jezuickich aż do XIX wieku. Współcześni biografowie spoza Hiszpanii zwykle zwracają szczególną uwagę na miejsce pochodzenia Iñiga Loyoli. Niektórzy hiszpańscy badacze kwitują ten szczegół krótką wzmianką albo wręcz przywłaszczają sobie Świętego razem z korzeniami, żeby zaraz potem przesadzić go do Arévalo<sup>3</sup> i ukształtować zgodnie ze swym upodobaniem, robiąc z niego typowy produkt

<sup>3</sup> Arévalo – miejscowość w Kastylji; na zamku w Arévalo wychowała się m. in. Izabela Katolicka, a Iñigo spędził tam wczesną młodość jako paź don Juana Velázqueza.

rodzącego się właśnie hiszpańskiego imperium. Jakby kod genetyczny odziedziczony po przodkach nie miał najmniejszego znaczenia; ani rodzina, w której człowiek się wychował, ani otoczenie, w którym budził się do życia – a przecież wszystkie te elementy pozostawiają niezatarty ślad w ludzkiej psychice, w jej najgłębszych pokładach.

Tak więc rozdział ten musi nosić tytuł *Ziemia ojczysta i czasy*. Ziemia ojczysta – w liczbie pojedynczej – jest sprawą oczywistą, choć w istocie złożoną i niełatwą do zrozumienia, natomiast o czasach będziemy musieli mówić w liczbie mnogiej, gdyż nie odpowiadają bezpośrednio ani czasom kalendarzowym, ani podręcznikowym podziałom, nie można ich więc jednolicie i jednoznacznie określić. Kiedy i w jaki sposób docierały w owych czasach wiadomości do ludzi i które z nich docierały? Czym jest współczesność w jednostkowej świadomości każdego człowieka? Należy pamiętać, że w owych czasach ludzie często nie mieli nawet pewności co do swojej daty urodzenia. „Chyba gdzieś około...”, zwykło się mówić przy próbach ściślejszego ustalenia czyjegoś wieku. Z kolei określenie czasów, w jakich człowiek żył, nabierało różnego znaczenia w zależności od tego, jak wyglądały okna rodzinnego domu, przez które człowiek wyglądał na świat i otwierał się na nadchodzące wypadki. Tak to już jest, że konkretny sposób patrzenia, wyglądania przez okno, zwłaszcza dziecka czy nastolatka, charakteryzuje się szczególnym stopniem uwagi, ciekawości i zainteresowania, który wraz z biegiem czasu ulega zmianie. W oczach biografą zbieżności chronologiczne nie mają tak wielkiego znaczenia jak współbrzmienie duchowe.

Dziecko żyje otaczającą go z wszystkich stron teraźniejszością i trudno mu wyobrazić sobie nawet niedawną przeszłość, kiedy nie było go na świecie. Uczy się poczucia czasu i jego upływu w sposób bezpośredni: zagłębiając się w przeszłość swej rodziny, włączając się w życie swego klanu, zaczynając stopniowo identyfikować się ze znaczeniem słowa *my*. Rodowód,

pochodzenie – niekoniecznie związane z pozycją społeczną – ma wśród Basków ogromne znaczenie, a najbliższa rodzina, złożona z dwóch lub trzech najbliższych pokoleń, jest czymś w rodzaju streszczenia owego rodowodu. Dzieci nie mówią „mój ojciec”, „mój dom”; wszystko jest „nasze”: „nasze drzewa”, „nasze owce”. Poczucie indywidualności rozszerza się, zostaje przeobrażone w świadomość rodzinną. Co było „nasze”, co oznaczało owo słowo, czy też jak z biegiem czasu zmieniało się jego znaczenie dla najmłodszego z rodzeństwa Loyolów?

Najbliższe, najbardziej stałe i namacalne było zapewne dla niego wszystko to, co wiązało się z rodzinnym domem: zbudowane z solidnych kamieni grube mury domu-warowni, które oparły się natarciom stronnictwa gamboińskiego w XV wieku: „i nie mogliśmy go zdobyć z uwagi na potężne mury”... Wśród owych kamieni wyróżniał się zwłaszcza jeden, najbardziej enigmatyczny: ten, na którym wyryto prastary herb ze znakami domów Oñaz i Loyola, a na nim wilki – mówiące same za siebie i przywołujące na myśl takie cechy, jak dominacja, odwaga czy drapieżność – oraz kociotek, w którym bulgotały i mieszały się kolejne pokolenia i nigdy nie było wiadomo, co z tej mikstury powstanie w przyszłości. Oprócz murów i kamieni w Loyoli mnożyła się dobrze schowana i wypolerowana broń, beczki i kadzie, narzędzia do pracy na roli, ubrania i inne sprzęty będące podstawą rodzinnego dobytku i zapisów testamentowych.

Lecz zanim zajmiemy się bliżej rodziną, wróćmy do ziemi, do konkretów wyrytych na zawsze w zakamarkach duszy, do krajobrazów. Loyola mieści się w samym sercu długiej, lekko wygiętej w łuk doliny, której środkiem płynie mała rzeczka o nazwie Urola. Jej raczej skromne uskoki ledwo są w stanie wprawić w ruch kilka kuźni i młynów. Dolina nie różni się niczym od podobnych dolin, jak ona zagubionych w labiryntach gór, gdzie wzrok zatrzymuje się na tym, co możliwe do ogarnięcia z racji swej bliskości i rozmiarów stworzonych na



ludzką miarę. Na wiosnę i w lecie dominuje tu soczysta zieleń, która w jesieni przeobraża się w złoto i inne ciepłe kolory, w fiolety i odcienie czerwieni w zimie, w lekką szarość przytękaną tu i tam błękitem w pochmurne dni, bez względu na porę roku, oraz w ciemne, ołowiane szarości, kiedy nadchodzi burza albo kiedy nad doliną zawisają gęste mgły przywiane znad morza.

Z jednej strony domu-warowni wznoszą się wzgórza pokryte gęstymi lasami, w których dominują kasztany, buki i dęby – przyjazne drzewa dostarczające drewna, owoców i cienia, u stóp których rosną grzyby i które co roku, kiedy opadają liście, łagodnie przypominają o upływie czasu, o konieczności zmiany, o krótkim trwaniu pół roku i nadziei, jaką niesie z sobą przyszłość. Z drugiej strony domu wznosi się okazała wapienna bryła góry Izarraitz z szarym, łysym grzbietem, różowiącym się lekko w słoneczne dni. Po jej zboczach wspina się zieleń daremnie próbująca zdobyć szczyt. Wspięcie się na jej grań jest synonimem męskości i męstwa, a także pozwala odkryć nieskończony ciąg okolicznych łańcuchów górskich, a za nimi szeroko otwierającą się przestrzeń morza. Kiedy idzie burza, wokół szczytu Izarraitzu gromadzą się ciemne chmurzyska nadciągające znad Zatoki Biskajskiej, które potem niczym armia najeźdźców ześlizgują się po jego stokach, podczas gdy porywiste wiatry wdzierają się z wściekłością pomiędzy zbocza przez pobliską kotlinę Cestony. W takie dni góra przypominająca niezdojany mur przybiera ponure, ciemne barwy, robi się posępna i straszna. Izarraitz uosabia to, co trudne, wielkie i nieludzkie, straszliwe i niemal boskie, tajemnicze, inne, gdzie dzień w dzień chowa się słońce. Po obu stronach domu w Loyoli czają się dwa oblicza czy też dwa zwierciadła kosmicznej rzeczywistości.

Jak można w tej sytuacji przemilczeć położenie domu rodzinnego Loyolów? Zawsze byłem głęboko przekonany, że Iñigo musiał być z natury samotnikiem. To, że na pewnym etapie

życia miała go nagle najść pokusa zostania pustelnikiem, nie jest bezzasadne. Był człowiekiem, który potrafił być sam i który w głębi duszy tęsknił za samotnością; za samotnością do głębi przesiąkniętą przyrodą i której wewnętrzne przestrzenie są pełne emocji i uczuć. Jakże miał nie być samotnikiem, skoro przyszedł na świat na odludziu, w samotnym domu położonym jednakowo daleko od dwóch najbliższych miasteczek, Azpeitii i Azcoitii, w domu, który był na dodatek zewsząd otoczony gąszczem lasu? „Cały okolony borem i drzewami dającymi najróżniejsze owoce, a rosnącymi tak gęsto, że domu prawie nie widać aż do chwili, kiedy staje się przed samą bramą”. W ten sposób opisywał go w 1551 roku niemogący ukryć zdumienia pochodzący z Kastylii ojciec Tablares. Domostwo stało na niewielkim pagórku, w cieniu olbrzymiego drzewa, które z daleka pozwalało je zlokalizować. Íñigo urodził się i mieszkał w świecie odciętym od miejskiej cywilizacji – odizolowanym przestrzenią fizyczną oraz dystansem, jaki narzucała pozycja społeczna Loyolów. Dlatego otoczenie, w którym wzrasta, nabiera jeszcze większego ciężaru gatunkowego niż w innych przypadkach.

## Oñaz-Loyola: najmłodszy z licznego rodzeństwa

Íñigo nie poznał dziadków, którzy byliby dla niego źródłem czułości, opowieści i legend, pierwszych przyjmowanych przez dziecko nauk zaprawionych raczej pobłażliwością niż autorytetem. Jego ojciec zmarł, kiedy chłopiec miał około szesnastu lat, niedługo po tym, jak opuścił dom rodzinny. A matka? Nawet najbardziej dociekliwy badacz historii rodziny Loyolów musi z rezygnacją przyznać, że na temat matki Íñiga nie wiemy absolutnie nic pewnego poza imieniem – doña Marina Sánchez Licono – oraz datą ślubu z Beltránem Oñazem, ojcem Íñiga (1467). Nie wiadomo nawet dokładnie, ile miała lat ani

kiedy umarła, choć z pewnością stało się to przed śmiercią jej małżonka. W testamencie Ochoi Loyoli (1508), brata Iñiga, jest mowa o nieżyjącym już ojcu, natomiast w umowie dotyczącej naprawy długów i wykonania zapisów testamentowych figuruje wzmianka na temat daru wotywnego, „który jego pani matka kazała złożyć w Guadalupe, w wysokości trzech dukatów”, oraz na temat tuniki, którą zostawiła po sobie w spadku. Wiemy, że do małżeństwa wniosła tysiąc sześćset florenów posagu. Była córką Martína Garcíi Licony, znanego na królewskim dworze jako doktor Ondárroa. W testamencie spisanim przez Juana, pierworodnego syna Loyolów, również nie ma ani słowa na temat matki, doñi Mariny. Co dziwne, w dokumentach dotyczących życia Iñiga nie pojawia się ani jedna aluzja do jej postaci. Czy znał ją w ogóle, czy też była tylko abstrakcyjnym pojęciem bez twarzy? Osobiście podejrzewam, że zdążył ją poznać, że jej śmierć mocno naznaczyła jego wczesne lub nawet bardzo wczesne dzieciństwo oraz że musiała pozostawić niezatarty ślad w owej najistotniejszej części osnowy składającej się na psychikę każdego człowieka (Rof Carballo).

Brak tej pierwotnej relacji, czy też jej ewentualny niedobór, oznacza pozbawienie dziecka matczynej funkcji: opiekuńczej, wyzwalającej, porządkującej, przekazywania wzorców, budowania podstaw ufności, odkrywania horyzontów. Brak matczynej miłości na tak wczesnym etapie rozwoju może nawet spowodować zahamowanie fizycznego wzrostu dziecka. Iñigo był niski, w czym odbiegał od typowego wzorca baskijskiego „chłopa na schwał”. Brak matki bywa przyczyną chorobliwych nawyków, depresji spowodowanej utratą przedmiotu miłości, a to z kolei wpływa na sposób reagowania na bodźce zewnętrzne i na nawiązywanie więzi międzyludzkich w dorosłym życiu, budzi w człowieku mroczne poczucie winy. „We wnętrzu każdego wędrownego łowcy przygód kryje się utajona i nieunikniona konieczność zahamowania zaburzenia tej matczynej funkcji odkrywania horyzontów, będącej częścią

zasadniczej osnowy ludzkiej psychiki”, pisze znakomity psychiatra cytowany powyżej. Czyżby to właśnie stanowiło klucz do pełnej przygód włóczęgi, jaką była znaczna część życia Iñiga? Historyków intrygowała zawsze postać damy, która opłamała myśli i serce rannego dworzanina, zwłaszcza z uwagi na to, że „nie była zwyczajną szlachcianką ani hrabianką, ani księżniczką, ale należała do nieporównanie wyższego stanu” [A 6]. Czy nie przyszło im do głowy, że za każdą nieosiągalną Dulcynę kryją się owe niedobory zasadniczej osnowy ludzkiej psychiki? W duszy Iñiga w miejscu należnym matce znajdowały się jedynie figury zastępcze: mamka, która go wykarmiła, bratowa Magdalena Araoz, pobożne kobiety z Manresy czy inni, bardziej wyszukani protektorzy. Tę niemożliwą do wypełnienia lukę musiały zaludnić inne postaci.

Jest jeszcze jeden element, którego skutki nie sposób przecenić: Iñigo był najmłodszym z trzynastorga rodzeństwa. Między datą ślubu rodziców i dniem jego narodzin upłynęły dwadzieścia cztery lata. Odnajdujemy dalekie echo tego faktu w oświadczeniu złożonym w 1606 roku w Walencji przez wychowaną w Loyoli dońę Eleonorę Oñaz, która próbuje nadać mu rangę cudu, nie tylko podkreślając fakt, że Iñigo był synem „matki w tak podeszłym wieku”, ale każąc mu przyjść na świat trzydzieści sześć lat po urodzeniu najstarszego brata. Co prawda w rzeczywistości nie dzieliło ich aż tyle lat, ale i tak było ich niemało. W istocie Iñigo miał tylko siedem lat, kiedy w zamku pojawiła się nowa pani domu – żona głównego spadkobiercy rodu, Martína, drugiego w kolejności syna Loyolów. Najstarszy z braci zginął dwa lata wcześniej w Neapolu (1496), w trakcie wojen włoskich, gdzie walczył pod dowództwem Wielkiego Kapitana<sup>4</sup>. Niewiele później trzeci z braci miał zginąć na tej samej arenie dziejów.

<sup>4</sup> Wielki Kapitan to przydomek, jaki nosił Gonzalo Fernández de Córdoba (1453–1515) – pochodzący z Andaluzji szlachcic i słynny dowódca wojskowy w służbie królowej Izabeli Katolickiej.

Íñigo wychowywał się razem z dziećmi brata, rozdarty pomiędzy dwoma pokoleniami, z psychologicznymi rozterkami typowymi dla dzieci żyjących w tego rodzaju sytuacjach: przyrównywał się do dorosłych braci, wobec których czuł się dzieckiem, i zachowywał dystans wobec bratanków, w porównaniu z którymi uważał się za dorosłego. Szczęśliwie w samą porę ojciec doszedł do wniosku, że chłopak powinien zmienić otoczenie, i wykorzystał pierwszą nadarzącą się okazję, żeby wysłać go do Arévalo. Ale nie uprzedzajmy faktów. Wracając do liczego rodzeństwa, należałoby dodać dla porządku, że – przynajmniej we wczesnym dzieciństwie – dobrze jest być *jednym z wielu* i dobrze też jest być *najmłodszym* – zwłaszcza w sytuacji, kiedy nikt już nie oczekiwał przyjścia na świat beniamina. Przed Íñigiem urodziło się dwanaścioro starszego rodzeństwa: Juan, Martín, Beltrán, Ochoa, który umrze w Loyoli około 1510 roku po latach służby wojskowej we Flandrii i w Kastylji, mniej więcej w tym samym okresie, kiedy inny z braci, Hernando, zaginie bez śladu na nowo odkrytym amerykańskim lądzie; dalej Pedro, ksiądz, oraz siostry: Juaniza, Magdalena, Petronila, Sancha... Nie zabrakło też dwóch braci bastardów, którzy jednak pojawiali się tylko w testamentach i których rodzeństwo z prawego łóża poznało dopiero w starszym wieku.

Rodzina w szerszym znaczeniu rozgałęziała się w liczne boczne odnogi, do których należało wiele słynnych nazwisk: Lazcano, Iraeta, Emparan, Licona, Yarza... W pewnym sensie do rodziny należała również służba – ich nazwiska też przewijają się bezustannie w dokumentach. Na znacznie dalszym planie pojawiają się dzierżawcy majątków ziemskich, kuźni i młynów. Dużo bliżej – zarówno fizycznie, jak i uczuciowo – wyłania się kobieta, która wykarmiła Íñiga, María Garín, żona kowala mieszkającego po sąsiedzku, w domu, który przetrwał do dziś pod niezmienną nazwą: Eguibar. Co ciekawe, okazuje się, że zatrudnienie mamki nie było skutkiem późnego

macierzyństwa, gdyż najstarszy brat Iñiga – ten sam, który zginął w Neapolu w 1496 roku – zapisał w testamencie pięć tysięcy kastylijskich marawedich Ochandzie, „mojej niani, która mnie wykarmiła”, podobnie jak Ochoa, który zmarł w Loyoli około 1510 roku – on też zostawił tunikę i damski płaszcz „mamce, która piersią mnie wykarmiła”. Obecność w życiu mamki karmicielki stwarza bardzo szczególny i nieistniejący już dziś rodzaj więzi, którego znaczenie uczuciowe trudno przecenić. María Garín przeszła do historii z racji swych szczodrych usług fizjologicznych, nikt jednak nie wspomina ani słowem o znaczeniu psychologicznym sprawowanej przez nią opieki. Czy wykarmiła Iñiga razem z którymś ze swoich własnych dzieci? Choć trudno jest dwóm panom służyć (Mt 6, 24), być może dałoby się wykarmić naraz dwoje dzieci. W każdym razie w twarzy, ramionach czy piersiach Maríi Garín kryją się tajemnice, których próżno szukać pośród dokumentów.

# Spis treści

Jak powstała ta książka 7

Wstęp: Fantastyczna wizja i źródła 19



## I. Od Loyoli do Loyoli

---

Ziemia ojczysta i czasy 53

Oñaz-Loyola: najmłodszy z licznych rodzeństwa 57

Kiedy się urodził? Rachuby mamki 61

„Starsi krewni” 64

Tutaj... czy daleko stąd? 68

Drugi dom: Arévalo 73

Wierny wasal i rycerz doskonały 76

Proces, tyle że nie beatyfikacyjny 81

Bez protektora: „nie ustawiwszy go w życiu” 85

U wicekróla Nawarry 87

Dla każdego jego własny koszmar 96

Nagle wojna – inwazja czy wyzwolenie? 101

Jeden przeciw wszystkim: zawstydzenie za honory światowe 104

„Aż ktoś ci nogę złamie” 109

Oznaki „zbliżającej się śmierci”. Bilans życia 112

„Zdecydowany iść drogą światową” 119

Rycerz Boży. Marzenia o bohaterskich czynach 121

„Rozmyślał niekiedy nad tym, co przeczytał” 124

Rozważając sam w sobie 128

Czuję się, jakbym się rozdawał 133

Duchowa przemiana. Tylko szaleńcy mówią prawdę. 140

- „Pasja nawrócona”. Jedność siebie 148  
Ku wolności: „Wyruszył więc na mulicy” 152  
A co z epoką? Samotny bohater kształcący się  
na chrześcijanina 163



## II. Jerozolima!

---

- Pielgrzym dzisiejszego dnia 173  
„*L'ome sant*” 175  
Podziw i obmowy 181  
„W stanie wielkiej i niezmiennej radości...  
nie znajdował żadnego lekarstwa” 187  
Zdarzyło się nad rzeką 194  
Inny człowiek, nowe oczy, wszystko nowe 199  
Miłość, wiara, nadzieja 205  
Ach, Jerozolima! 214  
Co dalej robić? 223  
Nazwał ją matką. Biedny pielgrzym Iñigo 227  
„Pomagać duszom” 231  
Na sposób apostołów 237  
Kierownik szpitala i jego żona 241  
María de la Flor – kobieta upadła 244  
„*Vidi Paulum in vinculis*” 249  
Oziębający efekt Erazma, czyli różnica temperatur 255  
„Albo na mocy nabytej wiedzy, albo przez Ducha Świętego” 261  
„Nikt nie mógł go przekonać... wyruszył sam i na piechotę” 270  
Biedny bezdomny student 274  
Zamieszanie w Paryżu: „wszystko to przypisywano mnie” 280  
Gdybyś zatańczył, jak tańczy się w twojej ojczyźnie...! 284  
„Spokojny... w pokoju ze wszystkimi” 288



- Wszystko się zaczęło w pokoju kolegium 296
- „Najtwardszy materiał”, czyli magister Ksawery 299
- „Ińgiści”, czyli grupka przyjaciół 302
- Przyszłość, Kościół, Inkwizycja 309
- „Dla zachowania prawdziwej postawy w Kościele  
wojującym” 314
- Klimat dzieciństwa 320
- W szpitalu w rodzinnym miasteczku. Żebrak-katecheta 326
- Sam i na piechotę – z Azpeitii do Wenecji 335
- Wenecja, czyli rozstaje dróg 340
- Magistrzy z Paryża, czyli „wędrujący nowicjusze” 350
- Tylko owego roku nie wypłynął żaden statek 357
- Jeśli ktoś będzie się dopytywał, kim są... 364
- Będę dla was w Rzymie łaskawy 367
- „Ubodzy księża-pielgrzymi” 372
- Niedorzeczne zarzuty. „Droga, którą idziemy” 377
- „Włochy są tak samo dobrą i prawdziwą Jerozolimą,  
jeżeli...” 382
- „Gotowi na wszystko” 383
- Rozważyć... zdecydować: nasze powołanie i formuła 387
- Pielgrzym przestaje wędrować 394
- „On nas zrodził” 400
- „*Con toto el core, con toto el ánima, con tota la voluntá*” 405
- Zajęcia dnia codziennego 408



### III. Rzym też jest Jerozolimą

---

- „Wszyscy twoją drogą idą”: „przywyknąć do marnego  
jedzenia i spania” 417
- „Zgodnie z materiałem, kruszczem i naturą każdego” 421

Jakże mały jest świat widziany z tej celi	429
„Gotowi na wszystko” oprócz...	432
Bulle, ubóstwo, łzy, „gorąca jasność”	438
Towarzystwo rozproszone	444
Spójność poprzez listy: „Cały Twój, niemogący zapomnieć o Tobie ani na chwilę”	450
Książeczka „do ćwiczenia siebie”	460
Jak zamknąć w słowach życie... i charyzmat	473
<i>Ars gubernandi</i> : „wewnętrzne prawo miłości”	481
„Nakreślił sam siebie w naturze”	486
„Inną osobę, która wykonywałaby lepiej, albo przynajmniej nie tak źle, powierzoną mi funkcję”	490
„Skarbiec nadziei, jaki posiadamy”	493
„Nędza tego smętnego żywota”	500
Strapienia	503
„Co mogłoby mnie napełnić melancholią”	511
Schyłek „baskijskiego generała”	517
Słowo, działanie, wola	521
„Oaza spokoju”. „Jakby ktoś całował duszę”	527
Natura i rzeźba, żelazo i wykuty przedmiot, pozwolić się poprowadzić	532
„Zdaje się, że widzi Boga”	535
„Gdybym poszedł za głosem moich upodobań i skłonności”	538
Życie, cóż za osobliwe sploty okoliczności!	543
Dziwne pytania jak na wywiad	545
„Przygoda ubogiego chrześcijanina”	548
Ostatni odcinek drogi samotnego i milkliwego Pielgrzyma	552
Posłowie	559
Bibliografia	561